OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 29 Marca 1865 roku.

Nr 13. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

JAKI PAN TAKI KRAM.

1.

Nad doliną przerzniętą małym strumieniem, gęstym porostem koniczyny dzikiéj, brzanki i różnych rodzajów szczawikowatych roślin, tworzących wydatną i gęstą łąkę, po jednéj stronie na wyniesieniu wzgórzystem, rozpościerała się obszerna włość pańska z murowanym kościołkiem, pałacem, austerją, gorzelnią i różnemi gospodarskiemi budynkami; po drugiéj, na nieprzejrzanéj okiem równinie, z pomiędzy różnych krzewów, wierzb, grusz i topoli, przeglądał mały folwarczek, bielejąc skromnie ścianami niewielkiego dworku. Słońce już dobrze nad horyzont wzniesione, zapowiadało dzień skwarny i pogodny, a przebijając się przez cienkie i smukłe pasma dymu, wydobywającego się z kominów obu posiadłości, ozłacało małe pierzaste chmurki na niebie, które co chwila zmieniając się w swych fantastycznych kształtach, wolno posuwały się ku zachodowi. Świegot ptastwa rozlegał się dokoła, dzwonek kościelny regularnym brzękiem wzywał pobożnych na nabożeństwo, a woń powietrza, świeża i balsamiczna, krasząc ten piękny krajobraz, podnosiła w nim cudowne wdzięki, za któremi tak tęskni mieszkaniec miast wielkich i zacieśnionych.



Ś-ty Michał Archanioł.—(str. 99, szp. 2).
(Rysował Tegazzo—wyciął na drzewie Walter).

Było to w poranek niedzielny, w początku Lipca. W dworku owego folwarku, krzątał się po pokoju właściciel jego pan Benedykt, zajęty wybieraniem z szafy przyborów służących do ubrania, czego ze szczególną dopełniał troskliwością. Był to mężczyzna w samym kwiecie wieku, lat zaledwie trzydzieści parę liczący, nie olbrzym, ale i nie karzeł, nie piękny, nie brzydki, ale niezmiernie miłéj, łagodnéj, pełnéj dobroci twarzy, jaśniejącéj tą rzadką słodyczą, co człowieka przemienia najczęściéj w posłuszne narzędzie cudzéj woli, gnące się jak wosk, za lada obcą zachciewką i grymasikiem. Wtem nagle drzwi się otworzyły i w progu stanęła niemłoda kobieta, bo już po szóstym krzyżyku, tłusta, barczysta, zaspana, z pakiem kluczy u boku, z fruwającemi końcami od czepka, z potężnym podbródkiem, a trzymając bieliznę w ręku, zapytała gniewliwym tonem:

— „I gdzież to acpan wybierasz się dzisiaj tak niespodzianie?

— „Do Suszyna moja cioteczko, do pana Hilarego.....

— „Nie spracowałbyś acpan języka" przerwała opryskliwie, gdybyś mi mówił: ciotko kapitanowa... to dodaje powagi między prostym narodem. Ale cóż to za asamble w Suszynie, że się na nie jeszcze rano przygotowywasz?

— „Jestem proszony na obiad do pana Hilarego.

— „Na obiad? dla czegoż mnie wcześniéj o tem nie uprzedziłeś? Czyż to u nas takie bogactwo, że możemy obiad gotować na zmarnowanie?

— „To przypadkiem się stało, moja ciotko pani kapitanowa, odrzekł z największą potulnością Benedykt. — Byłem na rannéj mszy i spotkałem się z Hilarym, świeżo przybyłym do dóbr Suszyńskich na ekonoma; że zaś to dawna jeszcze ze szkół przyjaźń, więc ucieszyliśmy się niezmiernie i uradziliśmy zjeść wspólnie obiad."

— „To dlaczegoż mi acpan tak odrazu nie odpowiedział" odezwała się kapitanowa, znacznie udobruchana i danym sobie tytułem i potulnością siostrzeńca; tylko czy aby pan Hilary poczciwy jaki człowiek, bo poprzedni ekonom, to nicpoń i ladaco, jak mi mówił pan komisarz.

— „Oto niech ciotka będzie spokojną. Do czasu

objęcia mego gospodarstwa, razem prawie ciągle byliśmy z sobą, i w pożyciu tem poznałem całą zacność jego duszy. Jest to chodząca prawość i sumienność, przytem niezwyczajne jak na oficjalistę posiada wykształcenie, a praktycznością i wiadomościami gospodarczemi, zasługuje być zwierzchnikiem a nie podwładnym.

— „No—no—tylko się z tym rozumem nie bardzo popisujecie, bo oficjaliści tego nie lubią i mogliby mu uszyć buty.

— „Wie on o tem dobrze, i dlatego oddany pracy z całym zapałem, w żadne z niemi nigdy bliższe niezachodzi stosunki, odrzekł Benedykt wzdychając.

— „To i to źle—przerwała kapitanowa, pragnąca zawsze przekonać siostrzeńca o swéj wyższości w znajomości ludzi i bystrym na stosunki ich poglądzie—bo zraża pychą i lekceważeniem przyjaciół, mnoży tylko niechętnych i zazdrośnych.”

— „I o tem wie także, moja ciotko pani kapitanowo—odrzekł Benedykt—zawiść co rok wyrzuca go ze służby, ale mimo tego powiada: że żadnym sposobem nie może przymusić się do pożycia przyjacielskiego z kolegami, zajętemi zwykle ploteczkami, zawiściami, błahotskami, którym nietyle idzie o obowiązki, jak o utrzymanie wspólnemi siłami przed oczami dziedziców pajęczéj sieci, w jakiéj im wzrok wikłając, przymuszają wszystko widzieć tak, jak oni chcą i pragną.

— „Wszystko to mój Benedysiu” odezwała się na to kręcąc głową kapitanowa — „dobre na pana, ale nie na sługę, dla tego i w Suszynie nie wróżę mu długiego pobytu.”

— „Czuję ja to moja ciotko, odrzekł Benedykt z nowem westchnieniem, i dlatego starać się będę przerobić go na.........

— „Ty chcesz go przerobić? prawie z szyderstwem przerwała kapitanowa, podnosząc w górę ramiona, ty masz zostać jego mentorem i nauczycielem? Pleciesz aspan banaluki, jakby w gorączce, i naukami swemi ogłupisz go do reszty. Bo dlaczegoż to acpan najprzód siebie nie przerobisz? Dlaczego nie możesz przyzwyczaić się do ludzi, i uciekasz od nich, jak od zapowietrzonych? Dlaczego po trzydziestce wędzisz się na kawalerstwie, i jak przypadkiem wypadnie ci być w towarzystwie panien, to się mięszasz, rumienisz, spuszczasz oczy jak owca w stadzie, i potem zmiatasz jak oparzony? Otóż siebie acpan najprzód przerób, zanim weźmiesz się do mentorstwa nad drugiemi, bo dziś często wyglądasz jak bęben w majtkach, kiedy mu matka za łajdactwo wyciągnie uszy.

Ukończywszy burę, kapitanowa sapiąc z pewnym rodzajem tryumfu, przeszła parę razy przez pokój, gdy pan Benedykt skulony, zafrasowany, milczący stał przy stole pod oknem, bardzo podobny do dzieciaka winowajcy, za psie figle obsadzonego w kozie.

— „I cóż acpan myślisz, stojąc jak na pokucie? zapytała nagle kapitanowa.

— „Myślę, moja ciotko, odrzekł Benedykt przełykając i jąkając się—że jeżeli ci się ta moja wizyta nie podoba, to gotów jestem zostać w domu.......

— „No—no idź acpan idź” odrzekła kapitanowa, udobruchana zupełnie okazanem posłuszeństwem, którego straty lękała się jak ognia, dodając w końcu sposobem przestrogi: „tylko miéj acpan baczenie na siebie i nie zrób jakiego głupstwa. Pan Hilary wprawdzie żonaty, ale ma drobne dzieci.......”

— „Tak—tak—tylko małe córeczki — przerwał Benedykt z niezwykłą radością, i potem dodał z pewnem zarozumieniem—jam ostróżny; wprzódy dobrze się wypytałem i wiem, że oprócz żony poczciwego Hilarego, któréj obecnie nie ma w domu, żadna dorosła białogłowa nie znajduje się w jego rodzinie.

Już na to kapitanowa nic nie odrzekła, tylko wychodząc miłosiernie poruszyła głową i ramionami, a pan Benedykt nucąc jakiegoś wesołego krakowiaczka, zajął się przyborami swéj garderoby. Podobny wybryk wesołości poczciwéj téj duszy, nie był bez powodu. Benedykt bowiem we wszystkich sprawach sumienia odważny jak lew, przy kobietach, a szczególniéj przy pannach, pomimo skończonéj trzydziestki, był trwożliwy, nieśmiały, milczący, spuszczający oczy, jak młodziutka dzieweczka, kiedy pierwszy raz słyszy szept miłosnych słów ukochanego. Dla tego poszedłby wszędzie, gdzieby kazano, w prawo, w lewo, nawet na kartacze, kule i armaty, ale prędzéj dałby się porąbać w drobniutkie kawałki, nimby wszedł dobrowolnie pod dach, osłaniający młodą panienkę, choćby była piękną jak cherubin, a dobrą jak anioł. Ta to nieśmiałość do wszystkich w ogóle kobiet, nawet do ciotki kapitanowéj, z pewnym rodzajem wstrętu połączona, nietylko, że go zasuszała na ciekawy egzemplarz starego kawalera, ale nadto nie robiła najmniejszéj nadziei, aby wyszedł kiedy ze swéj dobrowolnéj samotności. Ciotka wprawdzie, dla pomocy w gospodarstwie, pragnęła jego małżeństwa, ale wybór osoby wyłącznie zostawiała sobie, aby jéj nieograniczona w domu władza, nic na tem nie cierpiała, i przyszła żona Benedykta w potulności i poddaniu się była kubek w kubek do niego podobną. Warunek był trudny do spełnienia, ale ciocia na jotę od niego nie odstępowała, i gotową była wydrapać oczy każdemu, ktoby jéj w tem stawiał jaką przeszkodę.

W Suszynie, do którego wybierał się Benedykt, rojącym się oficjalistami i dworusami, jak w pałacu królewskim, były dwie panienki ze skrzydełkami już zupełnie rozwiniętemi do lotu; u komisarza jeneralnego dóbr, czyli właściwie u rządcy i u kasjera. Pan Benedykt dostatkiem, charakterem, fortuną i młodością, ponętną dosyć stanowił partję, więc komisarzowie prawie głośno, a kasjerstwo cichaczem, konkurowali o pana Benedykta. Zabiegi jednak żadnego nie odniosły skutku; Benedykt bowiem, pomiarkowawszy to, jak narowny koń, uparł się, przestał bywać w kościele i nawet krokiem po za dom nie wyruszył. Raz wprawdzie dziwnym przypadkiem, niechcący i niespodziewanie znalazł się u kasjerów, a nawet na pannę Marjannę spojrzał i cóś do niéj przemówił, ale z tego takie się zrobiło piekło, wrzask, tertes, i nienawiść, że Benedykt został jak z nóg ścięty, kasjerowie zaś o maluteńko nie stracili miejsca.

Słowa zatem kapitanowéj, aby w Suszynie nie zrobił jakiego głupstwa, były także przypomnieniem nierozważnéj bytności Benedykta u kasjerów i przestrogą, aby czegoś podobnego znowu się nie dopuścił. Kapitanowéj bowiem, ani komisarzówna, ani kasjerówna, nie przypadały do smaku, a chociaż z rączek ich chętnie przyjmowała przysmaczki i uściski serdecznéj przyjaźni, ale na tem kończyło się wszystko; a o wiankach panienek dla siostrzeńca swego ani pomyślała. *(D. c. n.)*

Ś-ty MICHAŁ ARCHANIOŁ.

Widzę cię, widzę w nadziemskiéj chwale,
Archanielskiemi zabłysłeś skrzydły,
A u stóp twoich, w bezsilnym szale,
Konając smok się wije obrzydły.

Ziemskie te kształty, są podobieństwem
Przymiotów Twoich — o Archaniele!
Który straż dzierżysz nad człowieczeństwem,
Dając w strapieniu pociech tak wiele!

Kto się wśród pokus świata i złości,
Orędownictwu Twemu poleci;
Promień niebieskiéj Twojéj światłości,
Wierzącéj duszy jego przyświeci.

I wątły, drobny, w świata ogromie,
Wnet się uczuje, silnym być — Tobą!
I ujrzy duszą — jakby widomie,
Twe archanielskie skrzydła nad sobą.

Złość i pokusa, co w szereg zdradny,
Duszę grzesznika wstrząsały trwogą;
Staną wcielone, w potwór szkaradny,
Twą archanielską zdeptany nogą.

Dla tego wierni — o Archaniele!
Cześć Ci niesiemy w takiéj postaci,
I Twéj opiece oddajem śmiele,
I duszę własne — i bliźnich braci.

JAZDA PSAMI.

Pan Bóg, stworzywszy świat, wszystkie rzeczy tak na nim urządził, swą niepojętą i nieograniczoną mądrością, że każda ma swoje odpowiednie przeznaczenie. Postępować zgodnie z tem przeznaczeniem, znaczy zgadzać się z naturą. Dla tego też postępujemy zgodnie z naturą, jeżeli do orania lub wożenia ciężarów, używamy wołu lub konia, bo natura dała na ten cel wołowi silne rogi, piersi i nogi, a i koń podobnąż siłę ma w piersiach i nogach. Gdybyśmy zaś chcieli wołu lub konia używać do pilnowania domu, lub do łapania zajęcy i innego zwierza, to nazwalibyśmy to wykroczeniem przeciwko naturze; kto zaś wykracza przeciwko naturze, ten grzeszy, i ten krzywdzi to stworzenie, które zmusza tak samo obrażać naturę; bo natura ma swoje prawa, nadane przez Najwyższego, Najlepszego Mędrca — Boga.

Z tego widzimy, że i pies w stworzeniu powinien mieć swoje przeznaczenie. Doświadczenia tysięcy lat nauczyły ludzi, że jedne gatunki psów służą wyłącznie do pilnowania domów, trzód, owiec, inne do tropienia zwierza, a jeszcze inne do ścigania go; są także i takie, które mogą się wyuczyć ratować ludzi tonących lub zbłąkanych i zasypanych śniegiem. Ażeby psy mogły to piękne swoje przeznaczenie spełnić, natura dała im silną paszczę z ostremi zębami, węch i słuch bardzo czuły, cienkie i suche nogi do latania, a nawet i niemałą zmyślność w pojmowaniu myśli człowieka. Widzimy więc, do czego natura psy uzdolniła; zdrowy rozum dobrze to powiada każdemu.

Ale na nieszczęście są ludzie, którzy z umysłu zagłuszają zdrowy rozum i domaganie się natury, mając na względzie tylko ciągnięcie jak największéj, niepohamowanéj korzyści, choćby to było i z krzywdą zwierząt, których do swéj chciwości przywiązują.

Chcemy tu mówić o jeździe psami, albo raczéj o wożeniu ciężarów psami, do którego natura ich nie uzdolniła, ani mocnemi piersiami, ani wzrostem potemu, lub mocnemi nogami. W niektórych krajach, prawo litując się nad temi stworzeniami, zabroniło już surowo zmuszać ich do ciągnięcia ciężarów. A jednakże są jeszcze miejsca w Europie, gdzie ten barbarzyński zwyczaj się zachowuje; są miejsca w Niemczech, mianowicie w blizkości miast większych, gdzie, jak to widzimy na obrazku, i po pięć psów zaprzęgają do wózka naładowanego różnemi przedmiotami, które się mają sprzedać na targu. I do czego to człowiek doprowadza te stworzenia, które go bronią, podzielają z nim trud, radość i smutek! Biedne psiska, stanąwszy na miejscu, wszystkie padły w swéj uprzęży na ziemię, z utrudzenia i z pracy nad siłę; a zziajane, wywiesiwszy języki, smutnie zwiesiły głowy ku ziemi, że aż przykro patrzeć, do czego to niepohamowana chciwość przyprowadza ludzi, a to z téj niby przyczyny, że żywienie psa mniéj kosztuje niż wołu lub konia. Aleź i w obchodzeniu się ze zwierzętami trzeba mieć serce, bo Pan Bóg nie stworzył nam ich na pastwienie się lub krzywdzenie, ale na posługiwanie się niemi, według praw i przeznaczenia natury. Kto krzywdzi zwierzęta, ten bardzo jest skłonnym i do krzywdzenia ludzi; bo dobre lub złe serce i w najdrobniejszych rzeczach poznać się daje. Posłuchajmy oto, co święty Franciszek Salezy, który wiele mądrych rzeczy napisał, mówi o zwierzętach. Napisał on: „że zwierzęta w stworzeniu są to młodsi bracia ludzi,"— a napisał tę myśl zacną w tem znaczeniu, aby ludzie nigdy krzywd rozmyślnych i pastwień się nie wyrządzali zwierzętom.

Na pociechę wyznać możemy, że w kraju naszym nie ma tego obrzydliwego zwyczaju, aby psów używano do dźwigania lub wożenia ciężarów. Ale ta sama prawda zmusza nas i to wyznać, że pastwienie się nad innemi stworzeniami — końmi, że przeładowywanie ich ciężarami nad miarę i nielitościwe bicie ich, jest jeszcze u nas w zwyczaju. A przecież to, garść lepszéj paszy, lepszym jest poganiaczem dla konia, niż bat, lub kij, który chyba tylko to zrobi, osłabłemu koniowi, że go prędzéj dobije, i gospodarza pozbawi rychléj jego podpory w gospodarstwie i życiu, a przynajmniéj skórę szkapinie obije i do kości porani. Zobaczywszy takiego konia, każdy zastanawiający się człowiek powie odrazu: „Jaki sługa taki pan."

Wracając się jeszcze do psów, należy jeden wyjątek zrobić, albo raczéj usprawiedliwić jazdę psami, która się odbywa w Syberji i Laponji. Rzeczywiście w tych krainach, psów używają i do kilkaset milowych podróży, ale tylko do podróży. Jednakże natura tych okolic wydała tam psy odmienne, większe i silniejsze od innych; zresztą zaprzężone w kilkoro do lekkich sanek, bez zbytniego utrudzenia, suwają się tam one lekko po ogromnych pustyniach śniegów, gdzie bardzo dobrze wyręczają konia, który, jako cięższy, ugrzązłby w zaspach śniegowych.

POGADANKI PRAWNE.

I.

OPIEKA.

Któż nie zna majestatycznéj litery prawa, ochraniającéj osoby i mienie sierot?

Wiemy, że związek rodzinny, jest instytucją społeczną;— że społeczeństwo, niejako, ustępuje tylko prawa swoje ojcu nad dziećmi. Ale skoro ojciec umiera, prawo ogarnia niezwłocznie wszechwładną swoją opieką, osieroconych przyszłych obywateli kraju, aż do rozwinięcia woli ich osobistéj.

Opatrzność społeczna, przy wykonaniu tego świętego posłannictwa, upełnomocnia pewne osoby, to jest ustanawia *opiekunów*, którzy są jakby piastunami wimię prawa — i zarządy opiekuńcze, przedstawiające ojcowską powagę społeczeństwa.

Zaprawdę — nie ma nic słuszniejszego i piękniejszego. Ojciec jest naczelnikiem rodziny — jest przyrodzonym jéj opiekunem i obrońcą. Gdy go śmierć dzieciom wydziera, biedne dzieci zostają same; albo gorzéj niżeli same, bo wystawione na łup bezbronny. Wprawdzie, stoją otworem szkoły i życie, ale któż je usposobi i wprowadzi do szkoły i życia? kto utrzyma i urządzi spuściznę sierot, podczas ich małoletności? kto je nauczy rozumnie korzystać, z gotowych zasobów rodziny i z sił własnych?

Temu wszystkiemu odpowiedzieć ma opiekun, w imię prawa.

Lecz spytacie zapewne, dla czego po śmierci ojca, nawet przy żyjącéj matce, prawo troszczy się o przydanie opiekuna dzieciom? A chociaż zwykle matka, zostaje opiekunką z ramienia prawa, wymaga się jednak na to osobnego przyznania, i ustanawia się przy niéj opiekun, w charakterze doradcy — albo nawet jak u nas wyłączna rada familijna?

Odpowiedź na to łatwa. Bo w *składzie* rodziny inne obowiązki ciążą na matce, a inne na ojcu, i przy ojcu zostaje zawsze główne naczelnictwo. Sfera działania kobiety, ogranicza się po większéj części domem; a wpływ jéj na dziecię ogarnia wyłącznie fizyczne wychowanie dziecka, zanim wyrośnie — i działa bezpośrednio, na początki religijnego i moralnego ukształcenia. Pod względem umysłowym, matka przygotowuje tylko władze dziecka, daje mu zamiłowanie nauki, prowadzi po pierwszych jéj stopniach, budzi wyobrażenie i przyrodzone kobiecie uczucie piękna. Do ojca należy wyższe stróżostwo, i kierunek wykształcenia umysłowego, szczególniéj synów. On powinien zważać, żeby, przy rozwijaniu władz dziecka, zachowaną była równowaga serca z rozumem, uczynku z nauką, piękna z dobrem, i żeby wszystkie władze te, ujęte były pierścieniem woli. Przytem, niewieści charakter wdowy, niedaje jéj możności, należytego kierowania spuścizną majątkową. Praktyczność w administracji rolniczéj, przemysłowéj lub handlowéj, w kobiecie jest wyjątkowo tylko; i przymiot ten, kobieta okupuje częstokrotnie, ze szkodą właściwych sobie przymiotów, w sprawie kształcenia rodzinnego kółka.



„A gdzież to acpan wybierasz się tak niespodzianie?"—(s. 97, sz. 2).
(Rysował Pillati—wyciął na drzewie Regulski).

Uwzględniając te prawdy, prawo rzymskie, które jest kamieniem węgielnym wszystkich europejskich prawodastw — poddawało kobietę *wieczystéj*, to jest dożywotniéj opiece. W dzieciństwie i do wyjścia za mąż, ojciec, lub wrazie jego śmierci, starszy z krewnych, był opiekunem dziewicy. Następnie mąż, stawał się opiekunem żony, we wszystkich czynnościach dotyczących jéj mienia, a nad wdową, rozciągała się znowu opieka krewnego lub obcego człowieka, znanego z prawości obywatelskiéj.

Dziwnie zapewne brzmi dziś ta instytucja, w obec dość upowszechnionych wyobrażeń, o *bezwarunkowéj* równości płci obu. O ile psychologja, fizjologja, i prosty zdrowy rozsądek oparty na doświadczeniu — potwierdzają dzikie to uprzedzenie, nie mamy czasu tu roztrząsać. Przestaniemy tylko na uwadze, że wyjątkowe zdolności, stawiające kobietę na równi w sferze niektórych działań społecznych, niemogą być zasadą, do przyznania w ogóle, téj bezwględnéj równości społecznéj kobiety z mężczyzną. Jakoż, *niektóre* prawodawstwa współczesne, z większym lub mniejszym rygorem, *zachowały* ten przepis rzymskiego prawa. Zupełne zaś *odosobnienie* i usunięcie wpływu opiekuńczego męża, na majątek żony, za jéj życia, jako też konieczność rozpostarcia nad majątkiem żony opieki, *wrazie* jéj śmierci, do czasu pełnoletności dzieci, bez względu na charakter opiekuńczy męża i ojca, dopuszczone przez niektóre prawodawstwa, *odstępując* wyraźnie od *powyższéj* zasady, dadzą się wytłumaczyć chyba jakiemś nieprawidłowem tworzeniem się prawa własności; *albo* zeznanym, czy niezeznanym kierunkiem, wbrew przeciwnym zasadniczym pojęciom, o wspólności rodzinnéj.

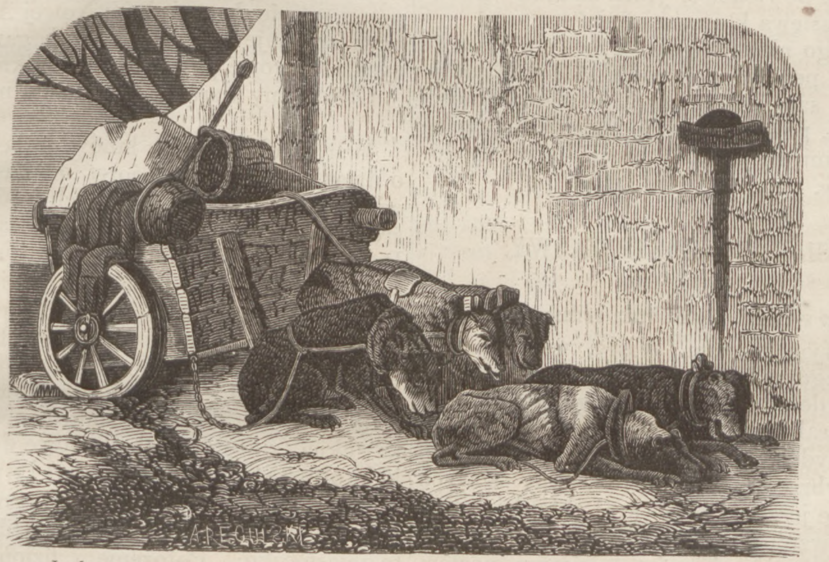
Powiedzieliśmy wyżéj, że prawo ogarnia osierociałe dzieci, do czasu rozwiązania woli ich osobistéj.

Widzimy więc, że zasadą opieki, jest brak dojrzałości fizycznéj i umysłowéj. Wprawdzie dojrzałość fizyczną każdy nabywa dopiero z latami, nie wszyscy zaś ludzie, nawet z wiekiem, dochodzą do dojrzałości umysłowéj, która, oprócz darów wrodzonych, potrzebuje wielu warunków zewnętrznych. Lecz prawo musiało poprzestać pod tym względem, na wymaganiach wcale nie przesadzonych. Jakoż przyznaje się dojrzałość obywatelska, każdemu, kto po dojściu do pełnoletności, ma jakiekolwiek samopoznanie rządzenia sobą. Szkodliwe użycie woli, choćby człowieka nieukształconego, nie usprawiedliwia się niedojrzałością umysłową, jak skoro przestał być małoletnim; i tylko chorobliwe złamanie umysłu zatrzymuje cechę niedojrzałości obywatelskiéj i po przejściu lat przepisanych przez prawo. Zkąd też warjaci, obłąkani, idioci i głuchoniemi — (jeżel

specyalne wykształcenie nie podniosło niedołężności przyrodzonéj tych ostatnich), ulegają opiece prawnéj, na równi z małoletniemi.

W powyższych wypadkach, prawo dla rozciągnienia opieki, potrzebuje pewnych, wyjątkowych ostrożności. Małoletność lub niepełnoletność, dają się stwierdzać aktem urodzenia, lub zeznaniami świadków. Inaczéj się ma rzecz, z przyznaniem nieudolności obywatelskiéj, z jakiegokolwiek powodu. Pełnoletność nadaje każdemu prawo, rozrządzania sobą i wszystkiem, co do niego należy. Swoboda więc ta, nie może być odjęta, jak po dowodnem i uroczystem przyznaniu jednego z powyższych stanów nieudolności obywatelskiéj. Medycyna jest tu zwykle wzywaną do decyzji, i nieszczęśliwy chory, musi wysłuchać bezmyślnie, głoszony mu wyrok śmierci cywilnéj. Wówczas, wszystkie warunki opieki nad małoletniemi, zastosowują się do obłąkanych lub głuchoniemych, z tą różnicą, że tylko śmierć, lub wyjątkowe uzdrowienie, uwalnia ich od tych pasków niemowlęctwa obywatelskiego.

Zwróćmy więc uwagę, że nie sam stan chorobliwy ale urzędowe jego przyznanie, wyrokuje o niezdolności społecznéj. Ztąd, wszystkie czynności obłąkanego lub głuchoniemego, zanim prawo odjęło mu zdolność rozporządzania sobą i mieniem, są prawomocne i obowiązujące. Niemniéj też, wyleczony z obłąkania umysłowego, lub rozwinięty przez naukę stosowną głuchoniemy; nie prędzéj mogą nabyć przymiot obywatelstwa, aż takowy, zostanie im na nowo przyznany przez prawo.



Jazda psami.—(st. 99, sz. 1).—(Podług obrazu J. Stevensa, rys. Kozarski—wyciął Regulski).

Jest to okoliczność, w któréj najwidoczniéj może, poznajemy wszechwładztwo prawa. Sam fakt, tak wymowny, tak wystarczający dla przeświadczenia, w życiu potocznem, nie ma znaczenia wobec prawa, zanim nie zostanie przyznany, na zasadzie i podług przepisów ustanowionych.

Zarzuci kto może prawodawstwu, dlaczego, troszcząc się o los małoletnich, obłąkanych i rażonych przez kalectwo, skazując na niedołężność umysłową; nie rozszerzyło daléj swéj opieki nad ludźmi, nieumiejącemi się rządzić lub używającemi na złe, sił umysłu i ciała?

Odpowiadamy na to — że niektóre starożytne, a nawet współczesne prawodawstwa miały lub mają, ten zakrój wszechstronniejszéj opieki ojcowskiéj niby — nad domowem życiem członków społeczeństwa. Ale doświadczenie i głębsze pojęcie swobody obywatelskiéj, wykazały niekorzystność, a nawet szkodliwość téj troskliwości zbytecznéj. Starożytni Rzymianie ustanawiali cenzorów, mających przestrzegać moralności ogółu. W średnich wiekach, niemal we wszystkich krajach, wysilano się na zakazy przeciw *zbytkom*; jedno przecie i drugie, nie wydało oczekiwanych skutków. Zaniechano więc bezużytecznych ograniczeń woli osobistéj, w sferze działań potocznych, i jedynie do uczynków przestępnych, naruszających swobodę innych współobywateli, zastosowano *prawo karne*. Jeden tylko pod tym względem wyjątek, dopuszcza się dla wyuzdanych *marnotrawców* — nad mieniem których, podobnie jak nad majątkiem obłąkanych, urządza się kuratela prawna.

Oto więc są wypadki, wyzywające pośrednictwo opieki prawa: małoletność, obłąkanie umysłowe, lub kalectwo fizyczne, skazujące na niedołężność umysłową, i wyuzdane marnotrawstwo. Dodamy jeszcze nawiasem, że stan małoletności dzieli się zwykle, podług lat, na dwa lub trzy stopnie, po przejściu jakowych, opiekowany nabywa stopniowo coraz szerszych praw, do rozporządzania sobą i swojem mieniem, zanim określona przez prawodawstwo lat dojrzałość, doprowadzi go do samodzielności zupełnéj.

Zarzuci może kto jeszcze, dla czego prawo przydaje opiekunów sierotom, lub obłąkanym i kalekom, posiadającym jakiekolwiek mienie, pomijając tę formalność względem biednych?

Lecz zarzut podobny, nie miałby żadnéj zasady. Formą pieczołowitości opiekuńczéj prawa, nad sierotami, obłąkanemi i kalekami, niemającemi żadnych środków, są towarzystwa i zakłady dobroczynne, domy sierot, ochronki, domy warjatów, szpitale i t. p.

Pamiętajmy przytem, że gdy obowiązek opieki prawnéj nad majętnymi, tak poważny i święty w myśli prawodawczéj, pomimo pewnych, określonych przez ustawy korzyści materjalnych, (ochraniających przynajmniéj od wydatków, przy urządzaniu interesów opiekuńczych), nie tak często odpowiada w praktyce wysokiemu zadaniu, jakąż tem bardziéj, mogłaby przynieść korzyść, narzucona opieka, nad biedakiem, nietylko nieopłacająca się niczem, ale pociągająca za sobą znaczne ofiary? Było więc bardzo naturalnem, opiekę nad biednemi, odnieść do zarządów dobroczynnych, zasilanych wprost ze źródeł ogólnych, albo przez dobrowolne ofiary osób, pamiętnych na cierpienia bliźnich. Opieka osobista nad biednym, przez wysadzonego prawem kuratora, mogłaby dotykać pewnego rodzaju upokorzeniem i stawiać w drażliwéj zależności; gdy przeciwnie, opieka publiczna, w zakładach dobroczynnych i szpitalach, będąc Opatrznością ogółu, wkłada tylko na młodych wychowańców, zaszczytny obowiązek wywiązania się ogółowi, przez życie pracowite i zacne,

a biedny obłąkany i kaleka, ogarniani tam są widomie, w imię miłosierdzia Boskiego.

Lecz czyliż opieka prawna i zakłady dobroczynne, zdolne są odpowiedzieć wszystkim warunkom, troskliwości rodzicielskiéj nad sierotami, troskliwości synowskiéj nad kalekami i choremi — i troskliwości bliźniéj, nad obłąkanemi? Nie, zaiste; prawo będzie tu zawsze bezwładne, jeżeli osoby, które do zastępstwa swego powoła, nie przejmą się duchem praw Boskich i ludzkich.

Co większa, w téj świętéj sprawie opieki publicznéj, winni brać udział czynny, wszyscy członkowie społeczeństwa, bez różnicy płci i stanu. Każdy ojciec rodziny, każdy gospodarz wiejski i miejski — każdy naczelnik fabrycznego lub rzemieślniczego zakładu, nie tylko w imię wiary, któréj jest wyznawcą — ale w imię obowiązków społecznych, powołani są, do opiekowania się, nietylko groszem, ale przykładem, ale szczerem słowem, dla młodszych wiekiem lub uboższych doświadczeniem i ukształceniem. Obojętność pod tym względem, jest już przestępstwem, a cóż powiedzieć, jeżeli zamiast moralnego wpływu, zasiewa kto zgorszenie?

Prawo może go nie doścignie, i może nie będzie miało ku temu pewnego powodu. Ale przygotuje stokroć sroższą sam sobie karę, w niemoralności własnych dzieci, powierników, pomocników, czeladzi i sług, któremi się otaczać musi; — a reszty dokona — sumienie.

PRZEMYSŁ MAŁO-MIASTECZKOWY.

I.

Miasteczko w upadku. — Miasteczko kwitnące.

Po nad płowym nurtem Wisły, wśród jarów wieńczących wzgórza, wznosi się miasteczko Kazimierz, zapewne dolnym zwany, aby go odróżnić od przedmieścia Krakowskiego, osiadłego od dawien dawna przez żydów. Na staję przed miastem, na piasczystem wybrzeżu, bieleją rozwaliny starych spichrzów, które jeszcze dobry król chłopków Kazimierz Wielki wzniósł, wraz z bogatemi kupcami miasta, które też stało się najważniejszym portem nad Wisłą. Pełne galary i szkuty zboża z okolic Krakowa, z Galicyi, ładowne furmanki z okolic Lublina, ciągnęły do Kaźmierza, aby w nim wysypać złotodajne zboże, po które przyjeżdżali z ładownym trzosem Anglicy i Holendrzy. Mieli nawet ci zagraniczni kupcy swoje stałe faktorje czyli kantory, w których odbywały się zakupy zboża, miodu, wosku, miedzi, ołowiu i innych produktów naszych. Z drugiéj strony bogaci kupcy perscy, ormiańscy, rozkładali swe kramy, z pięknym towarem: złotogłowiem, atłasem indyjskim, muszlinem syryjskim, które rad kupował pan i szlachcic, gdy mu Holendrzy czerwonemi złotemi za zboże sowicie się opłacali. I miasto zakwitło. Na wzgórzu dźwigał się królewski zamek, często przez Kazimierza Wielkiego odwiedzany, gdy w sąsiedniéj Bochotnicy mieszkała piękna Esterka. Nad nim panowała wysoka baszta, gdzie w nocy palono ognie, aby żeglarzy ostrzedz i rozświecić im drogę do przystani. U stóp wzgórza, wyniosłemi wieżami strzelał ku niebu przybytek Pański, wzniesiony przez bogatych i pobożnych mieszczan; rynek okoliły dziwnie pięknéj struktury kamienice, których frontony z ciosowego kamienia, ozdobne były filgranową rzeźbą. Z rynku rozbiegały się ulice z równie pięknemi domkami, a przedmieścia dworkowe szeroko się rozciągnęły, dając przytułek licznéj ludności pracującéj w porcie na Wiśle, lub w warsztatach bogatych fabryk safjanów, sukna i innych przedmiotów. Wszędzie ruch, wszędzie życie, wszędzie zamożność..

A dziś?

Dziś jadąc do Kaźmierza od strony Nowéj Alexandryi, bieleje szereg pustych rozwalonych spichrzów, których wnętrze zarasta chrust i dzikie zielsko, a w głębszych i ciemniejszych zakątkach, gnieżdżą się nietoperze lub zwierz drobny. Daléj witają biedne pochylone domki, z których w dzień szabasowy tysiące wysypuje się żydów, śpieszących do miejscowéj bożnicy. Wjechawszy w rynek jakiś zgarbiony w dwie kondygnacje—ten sam smutny widok opuszczenia. Jeszcze, gdzieniegdzie, jak świadki minionéj wielkości, dźwigają się tu i owdzie piękne, rzeźbą zdobne kamienice, lub mniejsze z podcieniami dworki. Nad miastem bieleją rozwaliny Kaźmierzowego zamku, do którego w pewnych interesujących chwilach, wędrują młodzi potomkowie Izraela. Opuszczenie—nędza—ubóstwo powszechne. Z dawnego handlu, tylko czcza mara pozostała, i zwolna resztki tego ruchu przenoszą się do sąsiedniéj Nowéj Alexandryi... z fabryk znajduje się kilka lichych garbarni, roznoszących niezdrowe powietrze w środku miasta.

Odwróćmy wzrok od tego smutnego widoku.

Wśród obszernych łanów gubernji Wołyńskiéj, o dwadzieścia kilka wiorst od Zasławia, otoczona wiankiem cudnie zachowanych lasów, leży Sławuta, środkowe miasteczko majętności książąt Sanguszków. Przed laty kilkudziesięciu, była to biedna, obszarpana, żydostwa pełna mieścina, niczem się od innych osad rolniczych okolicy nie różniąca. Dopiero wszystko się zmieniło, jak za dotknięciem czarodziejskiéj różczki, gdy w majątku swoim książę Roman pozakładał obszerne fabryki, których środkowym punktem została Sławuta. Obszerne cukrownie, olearnia, fabryka sukna (z któréj pochodzą owe dobrze znane burki i kołdry sławuckiemi zwane) i t. p. dają zatrudnienie licznym fabrykantom i okolicznemu ludowi. To też posłuchajmy, jak opisuje dziś jeden z podróżników to miasteczko: „Położenie i fizjonomja miasteczka dziwnie malownicze... Lasy okalające Sławutę, tak blisko położone, iż niektóre domy narożne wśród nich zbudowane. Żydów w miasteczku dużo—brudne ich jednak domostwa, jakby się gdzieś pochowały, zupełnie ich nie widać; natomiast białe dworki fabrykantów ślicznie się śród drzew rysują. Na obszernym rynku wspaniały ratusz, dokoła otoczyły sklepy, i daléj wznoszą się obszerne fabryki, z których dniem i nocą bucha dym kłębami, a warkot młotów i machin, donośnie się rozlega. Jeszcze daléj, dwór dziedzica; nad nim, jakby błogosławiąc okolicy, piękny kamienny kościołek, z złocistym krzyżem na kopule. Przez sam środek miasta, wije się Horyń, nad brzegami którego założony spacerowy ogród publiczny...

A inny podróżny znowu tak mówi:

„Nazajutrz po przybyciu mojem do Sławuty, że to była niedziela, miałem zręczność przypatrzenia się miasteczku w najweselszéj jego postaci; wszystko tu w świątecznéj zjawiło się barwie. Od rana tłumy pobożnych zalegały kościół; około południa wszystko na chwilę ucichło, a przed wieczorem, nowem życiem zawrzała Sławuta. Lud wysypał się na ulicę, napełnił rynek; dwie narodowości germańska i słowiańska zlały się tu razem. Dziewczęta i kobiety, pozrucawszy zasmolone fartuchy, w których przez

cały tydzień w fabrykach pracowały, przywdziały różnobarwne pstrocizną uderzające stroje; w kwiaty i wstążki ubrane—wesołe, hoże, uśmiechnięte, przebiegały ulice, a rój chłopców ścigał za niemi; odezwały się pozytywy, i zabawa rozpoczęła się na dobre. Młoda jakaś włościanka, schludnie i czysto ubrana, z fartuszkiem kubkami i szklankami napełnionym, przesuwała się po ulicach, pędząc osła przed sobą, na którego grzbiecie wisiały dwie baryłki z mlekiem. Lud zatrzymywał się na ulicy, i kupował chłodzący napój. Na wszystkich twarzach jaśniała swoboda i zadowolenie!

Oto dwa obrazki: miasta w upadku i miasta kwitnącego. Co było powodem pierwszego? Brak przemysłu i handlu, który ze zmianą stosunków uleciał z murów tak niegdyś zamożnego grodu, i zmienił go niemal w kupę gruzów..!

Co jest przyczyną pomyślności drugiego? Zaszczepiony umiejętnie przemysł, który bogaci ludność, cywilizuje ją i uszczęśliwia.

Lecz nie wszędzie rozwój wielkich fabryk jest możebny, i nie zawsze też tak pożyteczne jak w Sławucie wydaje rezultaty. W następnych obrazach zobaczymy jeszcze miasta o wielkiem przemyśle, i miasteczka, gdzie krzewi się przemysł drobny łatwy do zaprowadzenia i utrzymania, a który ludzie nawet ubodzy prowadzić mogą własnemi środkami. Ten ostatni przemysł, przykłady, jakie przedstawia i dobro, do którego prowadzi—będzie celem naszéj pracy w dorywczych obrazkach.

ULEPSZONA HEBLARNIA.

Rysunek, który drugostronnie podajemy, wyobraża ulepszoną heblarnię Wootwortha, połączoną z przyrządem do czopowania, nutowania czyli rowkowania i klinowania czyli kielowania. Machina ta tak jest złożona dowcipnie, iż według woli robotnika, mogą być wykonywane na niéj wszystkie roboty razem lub też każda z osobna. Te jej przymioty czynią tę machinę użyteczną; zastósowano ją przy robotach stolarszczyzny zwyczajnej jak i przy obrabianiu drzewa do wyrobów budowniczych, jakoto: ram do okien, zazdrostek (żaluzyi) i ornamentacyi, co zwykłym sposobem uskutecznić się daje, tylko przy pomocy wielu narzędzi pojedynczych i ze stratą niemałą czasu. Rysunek nasz i części oznaczone literami dokładnie objaśniają skład téj machiny, *aa'* są dwa cylindry do czopowania i nutowania drzewa. Poruszają się one za pośrednictwem wału *B* i pasów rzemiennych siłę komunikujących. Cylindry *a a'* osadzone są mocno, lecz w miarę potrzeby i stosownie do szerokości i wymiarów drzewa, mogą być zmieniane, do czego odpowiednia skala jest przyjętą. W tym celu przez rękojeść *C*, część odpowiednia wysuniętą lub wsuniętą być może, a klamra albo szruba *D*, służy do utrwalenia mechanizmu, aby się nie pokręcił w czasie roboty. *EE* są to rolki sprężynowe, żelazne służące do podtrzymywania deski, aby się stopniowo posuwała ku téj stronie, z którego brzegu ma być nutowaną. Rolki te mogą być wraz z cylindrem przez rękojeść *C* wysunięte, lub też napowrót przytwierdzone i umocowane. *F* jest cylinder z dwoma żelazkami i sztabkami do heblowania. Cylinder do prostego heblowania ma trzy żelazka, między które w razie potrzeby wkładają się inne do kielowania służące. Nareszcie *W* oznacza koło ręczne, za pomocą którego stół czyli rama utrzymująca cylindry *a à*, podnoszoną i spuszczaną być może, jak tego rozmaita siła oporu drzewa wymaga.

Mające się obrabiać drzewo poddane jest pod dwa walce *a à*. Dwa inne obok leżące walce, służą tylko do zabezpieczenia deski od drżenia, a ztąd i uchronienia się od nierówności, jakim drzewo pod działaniem hebla ulega. Machina ta wynalazku Anglika Wootwortha, jest tak mocno i gruntownie zbudowana, że opór ani żadne wstrząśnienie, podczas roboty miejsca mieć nie może. Wynalazca utrzymuje, iż za jéj pomocą w dziesięciu godzinach 1000 sztuk 12 łokciowych desek wyheblować, wyrowkować i wyczopować można. Machina ta okazywaną była na ostatniéj powszechnéj wystawie Londyńskiéj z firmą Povis James et Comp. Cena jéj 600 Rs. wynosi, a objaśnienia szczegółowe, dostarcza Mechaniczno-patentowa agentura w Frankfurcie nad Menem, w Niemczech.

ROZMAITOŚCI.

— Na całem podnóżu Karpat, począwszy już od Powiatu Sandeckiego aż w cyrkuł Kołomyjski, można spostrzegać ślady wysączającego się z ziemi tłuszczu, rozmaicie przez różnych mieszkańców tych okolic zwanego. Zowią go: ropą, ropką, kipiączką, i olejem ziemnym. Od niepamiętnych czasów, zbierano tłuszcz ten wszędzie i używano rozmaicie, to na lekarstwo dla koni i bydła, to w miejsce oleju do oświetlania w kagankach. Po całem Królestwie, a nawet do Węgier, Szlązka i Morawji roznosili płyn ten górale pod nazwą dziegciu. W początkach zbierano go tylko na powierzchni ziemi lub na stojących wodach jak śmietankę, gałązkami jodłowemi albo trzciną. Późniéj, jak niesie tradycja miejscowa, we wsi *Peczyniżynie*, w obwodzie Kołomyjskim, wykopano studnię, rząd państwa objął ją na swoją własność i wypuścił w dzierżawę, która dotąd istnieje. Studnia ta dawała znaczną ilość ropy, żydzi używali jéj do fałszowania oleju roślinnego, którym oświetlano miasta, a głównie Lwów. Wkrótce pokazała się jéj w różnych miejscach taka obfitość, że niedała się zużyć do powyższych celów. Włościanie tedy zbierali ropę w duże naczynia gliniane, a zapaliwszy, gdy części lotne uleciały, pozostałość używali jako gęstą smołę do smarowania wozów. W cyrkule Samborskim proceder ten wydoskonalono, dystylując w kotłach. Otrzymawszy dystylat, oléj płynny—produkt ten najkosztowniejszy, wylewano na dwór, bo szło tylko o otrzymanie mazi. Taka ulepszona fabrykacja przeszła w ręce żydów. Jednemu z nich dopiero w 1853 roku, przyszło na myśl sprobować czy i te oddystylowane części, niedałyby się użyć na co, a więc zebrawszy je w naczynie, przywiózł do Lwowa szukając odbytu. Ludzie fachowi poznali zaraz że to był oléj skalny czyli nafta, który atoli dla ciemnéj barwy i odoru nader nieprzyjemnego, zdawał się być nie do użytku. W aptece p. Mikolasza, zakupiono jednak kilka centnarów, i po niejakich próbach, udało się otrzymać płyn bezbarwny, jasne dający światło w lampach.

Taka jest początkowa historja nafty Galicyjskiéj, która teraz tysiącami garncy sprowadzana do Warszawy i przeważnie do oświetlenia w lampach wyłącznie na ten cel wyrabianych lub przerabianych z dawniejszych olejowych, jest używaną. Co to jest za materjał i jak się z nim obchodzić, wkrótce w Opiekunie domowym pouczające odczytacie uwagi, w oddzielnym artykule zawarte.

— Przywieziono w tym roku w jednéj wsi pod Łomżą zmarzłego włościanina; mówiono że już trup, bo ani dychnie; ale doktór co tam był na szczęście, kazał go wnieść do sieni, rozebrać do naga i ułożyć na kupie śniegu; i obłożyli go

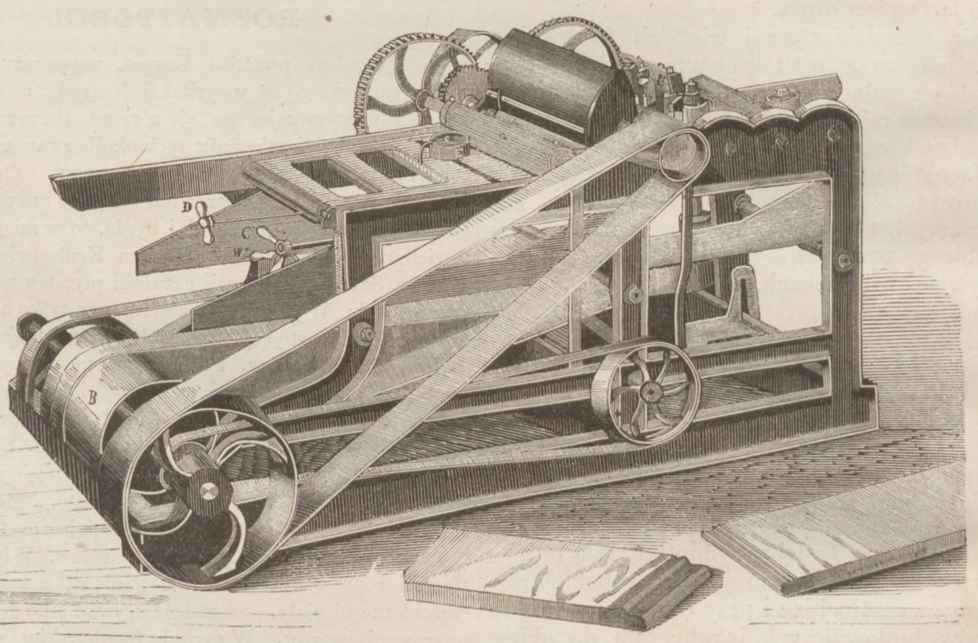
tym śniegiem na półłokcia grubo, a głowę mu podparli, żeby nie wisiała na dół. Niewyszło i dziesięć pacierzy, zaczęła wodą z niego spływać kroplami, bo się śnieg topił. Jak to zobaczył doktór, tak powiada dobra nasza, będzie żył. Otrzyjcie go teraz do suchości. Więc, gdy go otarli, tak kazał biedaka zanieść do ciepłéj izby, włożyć do łóżka i przykryć derką. Już go ułożyli na piękne, a tu doktór ujrzał, że ma jedną rękę białą i twardą, więc kazał znowu śniegu przynieść i trzeć mocno, aż i ta ręka odmiękła i rozgrzała się. Żeby tak był zostawił rękę przemarzłą, toby potem biednemu człowiekowi spęczniała i ciało jak po sparzeliźnie spadałoby kawałkami. Późniéj, może w godzinę, derkę zdjęli i przykryli pierzyną, a doktór mu natarł twarz i skronie, niedopuszczając do oczu. Tymczasem baba utarła chrzanu i przyłożyła mu pod nos, więc biedakowi drgnęły powieki raz i drugi i oczy otworzył. Wtedy uwarzyli mu lipowego kwiatu i dali wypić. Przyszedł do siebie i niewiedział co się z nim działo, bo na drodze zziąbł i zasnął, a najbardziéj narzekał że go ręka boli; doktór mu kazał tę rękę obwinąć flanelą i potem chory zasnął i rozczerwieniał się bardzo, wtedy mu obwinęli głowę chustą zmaczaną w wodzie. Po południu, już mu było lepiéj i dziękował doktorowi, że go wyratował od śmierci.

Tym doktorem był zacny Józef *Wojciechowski*, zmarły niestety przed kilku tygodniami w *Łomży*, z powszechnym żalem tak mieszkańców tego miasta jako i wsi okolicznych. Jego bezinteresowne poświęcenie się dla ratunku ubogich, poświęcenie nie tylko z umiejętności lekarskiej, ale i z zasobów materjalnych, ciężką pracą zebranych, które niósł z ochotą dla dobra cierpiącej ludzkości, długo zapomiane nie będzie, w stronach tych, gdzie 30 lat był więcéj jak lekarzem, bo prawdziwym opiekunem biedniejszych od siebie. Wszystkie stany, wszystkie wyznania, władze i obywatele; jako dowód uznania zasługi zmarłego, towarzyszyły smutnemu obrządkowi pogrzebu, nie jedna łza wdzięczności zwilżyła lica, a jeden głos powszechnego żalu, wyrwał się ze wszystkich ust, gdy spuszczano zwłoki jego do grobu. Kto tak żył dla dobra współbraci, kto taki żal powszechny pozostawia po sobie, musiał być dobrym człowiekiem! Cześć jego zacnéj pamięci!

— Zima tegoroczna, rozgościła się u nas nie na żarty, z niemałym uciskiem biednego ludu. Niejeden we własnym pomieszkaniu drżał od chłodu, bo drzewo drogie i dla rzemieślniczych i wyrobniczych kieszeni, coraz to mniéj przystępne. Pozostaje więc torf i węgiel, z użyciem których nie zupełnie się u nas ludzie oswoili. Co do torfu, skutek to tylko małéj w Warszawie przemysłowości, a nawet rzec możemy nagannego niedbalstwa przedsiębierców; okolice bowiem obfitują w obszerne pokłady torfu. Należałoby tylko otworzyć kopalnie ulepszonemi taniemi sposobami, i dosyłać go na targi warszawskie. Ludzie zczasem przyzwyczailiby się do palenia tym tanim materyałem, gdyby go mieli gdzie kupić. Co do węgli kamiennych, to jakkolwiek coraz więcéj ich pod kuchnie angielskie i piece używają, nie ma w tem tak wielkiéj korzyści, bo są drogie i ze Szlązka sprowadzane. Mamy w kraju prawda piękne bardzo kopalnie węgla, ale z nich niekorzystamy jak należy. Różne tego były powody..... Mamy jednak nadzieję, iż temu złemu wkrótce zaradzonem będzie, gdyż, jak się dowiadujemy, do kolei sprowadzonych zostanie w tym roku 300 wagonów, do przewożenia węgla. Jest przewozić czem, niechże tylko będzie co... Należałoby się postarać, aby ceny węgla zniżyć, bo jest za drogi... w Londynie o połowę tańszym węglem opalają mieszkania. Jest tam jedno towarzystwo, które hurtem kupuje węgiel na tysiące korcy i po cenie najniższéj odstępuje go biednym. Dobrzeby było naśladować to urządzenie, które pozwala niejednemu chudzinie zaopatrzeć się w opał na zimę, za niewielkie pieniądze.

— Wkrótce, bo z pierwszemi dniami wiosny, rozpoczętą być ma budowa kolei żelaznéj: jednéj, z Warszawy do Terespola, miasta położonego nieopodal Brześcia; drugiéj linja prowadzoną będzie, od stacji Rokiciny, na drodze żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj, do Łodzi, gdzie mieszczą się liczne fabryki wyrobów bawełnianych. Należy się spodziewać, iż krajowi rzemieślnicy i wyrobnicy, tak przy grabarskich robotach jak i w koniecznych przytem warsztatach, znajdą odpowiednie zatrudnienie.

— W tych dniach, już Wilno prawie całe zostało gazem oświetlone.



Ulepszona heblarnia.—(str. 103, szp. 1).—(Rysował i wyciął na drzewie Kazimierz Kuczyński).

Koniec Kwartału I-go 1865 roku.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 17 (29) Marca 1865 r.